

GRZEGORZ W. KOŁODKO*

Nowy Pragmatyzm, czyli ekonomia i polityka dla przyszłości

Wstęp

Jak pogodzić praktyczne podejście do gospodarki z pryncypialnością? Czy można być gospodarczym pragmatykiem i człowiekiem z zasadami? Czy warto? Można i warto.

Jeśli chcemy, aby świat przyszłości był światem pokoju i w miarę harmonijnego rozwoju – a przecież chcemy bardzo, to należy do procesów ekonomicznej reprodukcji wnieść nowe wartości, ale przy tej okazji ani przez chwilę nie powinno zapominać się o pragmatyzmie, który jest fundamentalną, niezbywalną cechą racjonalnego gospodarowania. Potrzebny jest pragmatyzm sprzyjający wielokulturowości i wychodzący z systemu wartości, które sprzyjają partycypacyjnej globalizacji, inkluzywnym instytucjom, spójności społecznej i zrównoważonemu rozwojowi.

Nie ma tu sprzeczności, ponieważ występuje daleko posunięta tożsamość nadrzędnych wartości przyświecających społecznemu procesowi gospodarowania oraz jego ekonomicznym celom. W obu ujęciach najważniejszy jest potrójnie zrównoważony długofalowy rozwój społeczno-gospodarczy. Potrójnie, co oznacza:

- 1) wzrost zrównoważony ekonomicznie, czyli w odniesieniu do rynków towarów i kapitału oraz inwestycji i finansów, a także siły roboczej;
- 2) wzrost zrównoważony społecznie, czyli w odniesieniu do sprawiedliwego, akceptowanego społecznie podziału dochodów oraz stosownego udziału podstawowych grup ludności w usługach publicznych, a także siły roboczej;
- 3) wzrost zrównoważony ekologicznie, czyli w odniesieniu do zachowania odpowiednich relacji pomiędzy działalnością gospodarczą człowieka i naturą.

Zatem nie ma konieczności poświęcania podstawowych zasad na ołtarzu dozących spraw koniunkturalnych czy taktycznych, trzeba natomiast tym pryncypiom podporządkować praktyczną działalność strategiczną. Ten imperatyw wy-

* Prof. dr hab. Grzegorz W. Kołodko, Centrum Badawcze Transformacji, Integracji i Globalizacji TIGER, Akademia Leona Koźmińskiego w Warszawie, członek Komitetu Nauk Ekonomicznych PAN oraz Europejskiej Akademii Nauki, Sztuki i Literatury; e-mail: kolodko@tiger.edu.pl

znacza ścieżkę ewolucji ekonomii politycznej przyszłości. Dobra ekonomia to nie tylko opis świata; to także instrument jego zmiany na lepsze.

Relacje dochodów mają zasadnicze znaczenie dla długookresowego wzrostu gospodarczego. W szczególności sprzyja mu ich zrównoważony podział. Wniosek ten oparty jest na komparatywnych badaniach długich szeregów czasowych i jest niepodważalny (szerzej na ten temat – zob. Wilkinson, Pickett 2011). Wzrost gospodarczy jest bardziej trwały w krajach o względnie niskim stopniu nierówności dochodowych. Co więcej, relacje dochodowe ważyły tam na dynamice gospodarczej więcej niż liberalizacja handlu i jakość instytucji politycznych (zob. Berg, Ostry 2011). Już ta konstatacja pokazuje, na co polityka rozwoju w przyszłości powinna zwracać szczególną uwagę, a mianowicie, że kluczową wagę mają instytucje ekonomiczne – instytucje w znaczeniu behawioralnym, nie organizacyjnym, czyli reguły postępowania, zasady ekonomicznej gry oraz stosunki podziału. Na wyzysku nie można budować dobrobytu, na zysku osiąganym w warunkach inkluzywnych instytucji politycznych i ekonomicznych – tak.

Ogromne znaczenie ma możliwość realizowania dwu celów za jednym zamachem, a to dzięki temu, że jeden z nich – zrównoważony społecznie podział dochodów – jest zarazem środkiem do realizacji drugiego, czyli wzrostu gospodarczego. Tej zależności nie potrafiła i nie chciała pojąć neoliberalna myśl ekonomiczna oraz opierająca się na niej polityka gospodarcza i dlatego, prowadząc do poważnego kryzysu, sama się unicestwiała (por. Roubini i Mihm 2011). Nie potrafiła tego pojąć także myśl ekonomiczna przyświecająca różnym odsłonom kapitalizmu państwowego i dlatego także on nie ma przed sobą świetlanej przyszłości (por. Halper 2010). Czas na Nowy Pragmatyzm (zob. Kołodko 2013).

Bynajmniej nie lekceważąc rywalizacji neoliberalnego kapitalizmu z kapitalizmem państwowym, nie ta dychotomia będzie miała zasadnicze znaczenie dla przyszłości. O jej kształcie przesądzi wynik konfrontacji obu tych odsłon współczesnego kapitalizmu ze społeczną gospodarką rynkową w formie Nowego Pragmatyzmu. Główna linia starcia przebiegnie między usiłującym odzyskać siły i pozycję neoliberalizmem oraz wrogim wobec niego kapitalizmem państwowym a koncepcją autentycznego postępu społeczno-gospodarczego. Z jego owoców jak najwięcej powinny czerpać masy ludzi, a nie wąskie kręgi kierujące się partykularnymi interesami oraz ich dobrze opłacani lobbyści w polityce, mediach i nauce. Żaden z układów, w którym rozległy obszar niedogodności ekonomicznych nazywa się marginesem wykluczenia społecznego, a równocześnie wąski margines nazywany elitami opływa w nadmiernym bogactwie, nie ma przed sobą dobrej przyszłości.

To ciekawe, że w literaturze ekonomicznej wciąż pojawiają się – i wciąż są nagłaśniane – jednostronne czy wręcz tendencyjne interpretacje procesów rozwojowych, usiłujące sprowadzać problem a to do dychotomii własności prywatnej i państwowej (czy też, w innym ujęciu, indywidualnej czy zbiorowej), a to do przeciwstawiania rynku i państwa, albo też do konfrontowania leseferyzmu z interwencjonizmem. Gdyby wybór był tak prosty, jak tego rodzaju alternatywy sugerują, nie mielibyśmy aż tylu wyzwań i nie potrzeba byłoby aż tylu ekonomistów.

To zdumiewające, jak można mieszać pojęcia i kategorie ekonomii rozwoju, usiłując wmówić sobie i innym, że w największym stopniu to właśnie neoliberalny kapitalizm typu anglo-amerykańskiego cechuje się największą dozą inkluzywności (Europejczyk powiedziałby: „spójności”) politycznej i ekonomicznej. Sugeruje się, że w porównaniu do wszystkiego innego w dziejach – od Imperium Rzymskiego poprzez Chiny dynastii Ming po Związek Radziecki – czy też współcześnie od Argentyny poprzez Turcję do Wietnamu – system ten jest wyzuty z elementów wyzysku, a rzekomo szeroki udział szerokich rzesz społecznych jest źródłem osiągniętego tam wysokiego poziomu rozwoju (por. Acemoglu, Robinson 2012).

To znamienne, że nawet siedlisko ekonomicznej ortodoksji, jakim przez lata był Międzynarodowy Fundusz Walutowy, przyznaje, że polityka przewycięzania kryzysu w krajach wysoko rozwiniętych – zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Unii Europejskiej – powinna bardziej skoncentrować się na podniesieniu wpływów podatkowych (przede wszystkim od zamożniejszych warstw ludności) aniżeli na cięciu wydatków budżetowych (przede wszystkim adresowanych do warstw uboższych). Od razu dodajmy, że zwiększanie wpływów fiskalnych nie musi zawsze i wszędzie sprowadzać się do podnoszenia podatków, gdyż cel ten można osiągnąć również poprzez likwidację zwolnień i wyłączeń oraz usprawnienie ściągania należności. Przy takiej orientacji następują pro wzrostowe zmiany w strukturze finalnego popytu oraz zmniejsza się skala dysproporcji dochodowych, co sprzyja zarówno ograniczaniu przyczyn kryzysu, jak i jego następstw. Podobnie w gospodarkach emancypujących się redystrybucja dochodów, prowadząca do redukcji nierówności w ich podziale, w długim okresie sprzyja rozwojowi gospodarczemu (por. Malinowski 2013).

1. Podział dochodów a dynamika gospodarcza

Co więcej, od pewnego poziomu dochodu narodowego można osiągnąć większy przyrost społecznego zadowolenia z jego mniej nierównomiernego podziału niż z ilościowego wzrostu. To podpowiedź dla polityki gospodarczej o kapitalnym znaczeniu. Zresztą nie tylko dla polityki, bo też dla systemu wychowawczo-dydaktycznego. Im bardziej ludzie będą to rozumieli, tym łatwiej będzie w takim kierunku pójść. Ale zarazem jest to ryzyko, gdyż polityka, opierając się na takiej tezie, zamiast być pragmatyczna, może okazać się populistyczna. Trudność to tym większa, że przyrost produkcji dość łatwo mierzyć, co zaś tyczy się zadowolenia ludzi, łatwo manipulować jego szacunkami (zob. OECD 2011).

Można odczuwalnie podnieść to zadowolenie, obniżając wskaźnik Giniego o określoną frakcję punktu, zamiast śrubować tradycyjnie liczony PKB o kolejne procenty. Polityka gospodarcza w przyszłości coraz częściej będzie musiała się uciekać do takiego kierunku działań, co będzie o tyle łatwiejsze, że z jednej strony coraz wyższy jest bezwzględny poziom produkcji i konsumpcji, z drugiej zaś większa niż poprzednio jest obecna skala nierówności dochodów. Innymi

słowy, odnośnie do nierówności jest skąd schodzić. O ile w krajach biednych przez jeszcze wiele lat największe znaczenie będzie miał tradycyjnie rozumiany wzrost gospodarczy, czyli ilościowe zwiększanie produkcji, to w większości krajów bogatych – z wyjątkiem społecznych gospodarek rynkowych charakteryzujących się niskim stopniem nierównomierności – ważniejsze od ilościowego wzrostu sztuk, kilogramów, metrów, litrów będą odpowiednio ukierunkowane zmiany proporcji dochodów.

Nieuzasadnionym nierównościami – zwłaszcza wynikającym z patologii stosunków podziału – należy zdecydowanie przeciwdziałać, ponieważ osłabiają wzajemne zaufanie ludzi, co szkodzi kapitałowi społecznemu, tak bardzo pożądanemu w procesach rozwoju. Jeśli zaufaniem nie obdarzają się różne grupy zawodowe i środowiskowe, jeśli społeczeństwo nie darzy zaufaniem władzy, a ta jemu się odwzajemnia, jeśli nawzajem nie ufają sobie przedsiębiorcy, to kapitał społeczny, zamiast się pomnażać, podlega erozji. W gospodarce bywa podobnie jak w rodzinie; jeśli nawet nie brakuje pieniędzy, ale nie starcza zaufania, rzeczy źle się mają.

A co z akumulacją kapitału? Przecież jest ona niezbędną do normalnego funkcjonowania gospodarki, przede wszystkim do inwestowania w modernizację istniejących i tworzenie nowych mocy wytwórczych. Czy mniej rozciągnięta drabina dochodów nie osłabi skłonności do oszczędzania, a tym samym tworzenia kapitału i inwestowania go w lepszą przyszłość? Bynajmniej. Gdyby tak miało być, nie należałoby zmniejszać rozpiętości dochodów. Ale, pomijając wyjątkowe sytuacje, tak nie jest. Nie ma ani empirycznego, ani teoretycznego dowodu, że w gospodarkach o bardziej spłaszczonej strukturze dochodów oszczędza się i inwestuje mniej. Wystarczy prześledzić bieg stosownych procesów w sferze formowania się kapitału w Austrii, Francji, w państwach nordyckich i innych krajach o zbliżonej z tego punktu widzenia charakterystyce, aby przekonać się, że ich bardziej egalitarne społeczeństwa potrafiły oszczędzać nie mniej niż w krajach o bardziej elitarnym typie stosunków podziału.

Poświadczają to również konkluzje, które nietrudno wyprowadzić z porównania gospodarek z tzw. dużym państwem, w porównaniu z tymi, gdzie państwo jest „małe”. Otóż podczas kilkudziesięciu lat (1960–1995) w krajach z małym, około 30-procentowym udziałem państwa w redystrybucji dochodu narodowego (i w związku z tym z większymi nierównościami w jego podziale) stopa inwestycji, czyli ich procentowy udział w PKB, wynosiła średnio 20,7%, a w krajach z dużą skalą redystrybucji budżetowej, z około 50-procentowym udziałem państwa w PKB (i w związku z tym stosunkowo mniejszymi nierównomiernościami w podziale dochodów), stopa inwestycji wynosiła średnio 20,5%¹. Żadna różnica. Można mieć taką samą zdolność do formowania kapitału, co decyduje o wzroście

¹ Piszę „w związku z tym”, sugerując oczywisty związek pomiędzy relatywnie większą skalą budżetowej redystrybucji a względnie mniejszą skalą nierównomierności w podziale dochodów. Tak jest w krajach o inkluzywnych instytucjach, o relatywnie wysokim stopniu spójności społecznej. Możliwe są wszak przypadki, gdzie państwo jest „duże”, ale korzystają z jego dobrodziejstw nie rzesze społeczne, lecz tzw. elity, częstokroć skorumpowane, co jest nierzadkim przypadkiem w gospodarkach państwowego kapitalizmu.

gospodarczym w przyszłości, przy bardziej zrównoważonym podziale dochodów, co współdecyduje o satysfakcji ze stanu gospodarki w teraźniejszości. I to jest ważna wytyczna polityki gospodarczej. Tak właśnie powinno być w przyszłości.

Nieustanny wzrost ludzkich potrzeb, z towarzyszącym im nieodpartym pragnieniem ich zaspokojenia, to obosieczny miecz. Pokonuje wiele barier i, permanentnie stymulując koniunkturę gospodarczą, jest niezbywalnym ogniwem procesu reprodukcji rozszerzonej, czyli wzrostu gospodarczego. Zarazem jest to siła dewastująca, ponieważ potrafi zamulać umysły, psuć preferencje, prowokować naganne cechy i w konsekwencji wprowadzać do gospodarowania elementy irracjonalne.

Wielkim problemem jest nieustanny wzrost aspiracji konsumpcyjnych. Rozległy kryzys przełomu pierwszej i drugiej dekady XXI wieku co najwyżej je lekko stonował i co nieco przesunął w czasie. To także wytwór określonego systemu wartości. Od czasu, gdy kilka wieków temu ludzkość wyrwała się z oków reprodukcji prostej, kiedy to wielkość i warunki produkcji i konsumpcji odtwarzały się z okresu na okres bez zmian, i przeszła do reprodukcji rozszerzonej, kiedy to z okresu na okres wytwarza coraz więcej – apetyty są niezaspokojone. Kiedyś potrzebne było tyle, aby przeżyć na podobnym poziomie jak dzień, rok czy pokolenie wcześniej, teraz – im więcej, tym lepiej. Ale czy naprawdę lepiej? Ilekolwiek by wyprodukować, ilekolwiek by skonsumować, chce się więcej. Powiadają, że apetyt rośnie w miarę jedzenia, panoszy się ekonomiczne obżarstwo bez umiaru, a wraz z nim gospodarcza otyłość i liczne wynikające stąd społeczne patologie. Gospodarce potrzebna jest zdrowa dieta, tak jak jest ona niezbędna sprawnie funkcjonującemu organizmowi. Gospodarce przyszłości potrzebny jest umiar.

Pomimo że rośnie zaspokojenie potrzeb, jeszcze szybciej rosną same potrzeby. W efekcie – choć trwa wzrost gospodarczy – zwiększa się luka pomiędzy potrzebami a ich zaspokojeniem. Pomimo że ma się więcej, jest gorzej. To problem w istocie psychologiczny, ale o ogromnych konsekwencjach ekonomicznych. No i, idąc dalej, politycznych. Swego czasu określiłem ten syndrom jako paradoks niższego poziomu zaspokojenia potrzeb przy wyższym poziomie konsumpcji (Kołodko 1984). Jak rozwiązać ten problem? Bo że rozwiązać go trzeba, nie powinno podlegać wątpliwości, w innym bowiem przypadku trwać będzie pościg za dewastującym środowisko i powodującym zaburzenia społeczne wzrostem ilości wytwarzanych towarów bez wzrostu satysfakcji z ich spożywania. Gdzie tu sens?

Dotychczasowa logika społecznego procesu reprodukcji polega na autonomicznie rosnących potrzebach posiadania i konsumowania rozmaitych towarów, co stymuluje wzrost ich produkcji. Równocześnie rosną dochody, za które można nabywać wytwarzane dobra i świadczone usługi. Rosną także same potrzeby, które w epoce konsumeryzmu z reguły utrzymują się powyżej poziomu ich zaspokojenia. Utrzymuje się zatem określony stan napięcia, który jest zarówno siłą motoryczną wzrostu gospodarczego, jak i powodem niezadowolenia z istniejącego stanu rzeczy. Jeśli potrzeby rosną szybciej, niż rośnie czyniąca im zadość gospodarka, rośnie też indywidualna i społeczna frustracja. Jest tylko jeden sposób na wyjście z tego syndromu: spowolnienie tempa wzrostu potrzeb.

Teoretycznie można by postulować przyspieszenie tempa wzrostu produkcji, ale z dobrze już nam znanych powodów praktycznie nie jest to ani możliwe, ani też aksjologicznie nie jest wskazane. Co więcej, z istoty obecnego kształtu mechanizmu reprodukcji wynika, że przyspieszenie wzrostu gospodarczego powoduje jeszcze większe przyspieszenie narastania apetytów konsumpcyjnych i ponownie system staje w obliczu tego samego syndromu, tyle że wszystkiego jest więcej – kłopotów też.

Podczas gdy nonsensem ekonomicznym jest postulowanie zerowego wzrostu, nonsensem społecznym jest postulowanie puszczenia kwestii potrzeb konsumpcyjnych na żywioł. Tradycyjna ekonomia przyjmuje założenie, że potrzeby są nieograniczone i w zasadzie w ogóle nie zajmuje się tą kategorią. Skupia się na badaniu czynników kształtujących efektywny popyt, a więc tylko na potrzebach, które mogą być zaspokojone, gdyż wsparte są realną siłą nabywczą. Jak chcesz mieć najnowszego iPada – jest to potrzeba. Jak masz za co go kupić – jest to popyt. Wobec tego, jeśli go chcesz, ale nie masz za co kupić, nie stanowisz przedmiotu zainteresowania wąsko pojmowanej ekonomii, gdy zaś znajdują się pieniądze na taki wydatek, stajesz się obiektem jej dociekań.

Można zawęzić podejście do sprawy i zajmować się wyłącznie tym, jak wykreować popyt, aby można było sprzedać to, co potrafimy wytworzyć. Lepiej wszakże jest poszerzyć pole rozważań i znaleźć odpowiedź na pytanie, które z potrzeb i jak pobudzać, aby w ten sposób motywować ludzi do kształcenia się i bardziej wydajnej pracy, co zaowocować musi wyższymi dochodami, a w rezultacie również większym popytem. Już z tego widać, że nowoczesna ekonomia nie może nie zajmować się mechanizmami kształtowania potrzeb i sposobami ich zaspokajania. Czyni to m.in. ekonomia behawioralna i niektóre społecznie zorientowane nurty myśli ekonomicznej.

2. Potrzeby i popyt

Badanie potrzeb – ich charakteru i struktury, priorytetów i preferencji – jest konieczne z punktu widzenia sterowania rozwojem realnej sfery gospodarki. Istotną część potrzeb bowiem z czasem staje się popytem. Na wiele potrzeb, które na szczeblu mikroekonomicznym usiłuje rozpoznać marketing i które bada ekonomia eksperymentalna, należy spojrzeć jak na popyt potencjalny. Na razie nie ma go na rynku (albo jest w formie „wystawowych zakupów”, czyli spacerowania po handlowych pasażach, aby zobaczyć, „co dają”, i pomarzyć, co by się kupiło, jakby było za co), ale może się tam z czasem pojawić. Naturalnie, nie będzie to li tylko funkcją czasu, lecz i wzrostu realnych dochodów nabywców bądź też zmian ich preferencji konsumpcyjnych. Tak więc część potrzeb to popyt potencjalny, który stanie się popytem realnym, i trzeba zawczasu wiedzieć, jaką realną podażą przyjdzie go zrównoważyć. Jeśli sprawa dotyczy nowego typu smartfonu, trzeba ją zostawić wyłącznie rynkowi. Jeśli dotyczy usług z zakresu ochrony zdrowia albo

rozwoju motoryzacji, nie zaszkodzi, jeśli również państwo uwzględni implikacje nadchodzących zmian w polityce budżetowej i inwestycyjnej.

Na pewno z biegiem czasu będziemy czego innego chcieli, bo co innego będziemy mieli. I co innego będziemy wiedzieli. Wciąż będąc pod presją luki pomiędzy potrzebami i pragnieniami a zaspokojeniem i posiadaniem, będziemy motywowani do poszukiwania dodatkowej porcji dochodów, bo podnoszenie standardu życia będzie wymagać większych wydatków. Nie mogąc mieć więcej i lepiej dzisiaj, będziemy się starać, aby mieć więcej i lepiej jutro. Ekonomia przyszłości zatem to nie ekonomia stanu, lecz ekonomia zmian. Odpowiada nie tyle na pytanie, jak jest i co od czego w sferach produkcji, podziału i wymiany zależy, ale jak będzie i co od czego będzie zależało.

Sprawa jest niezwykle złożona z każdego punktu widzenia: etycznego, psychologicznego, społecznego, ekonomicznego, prawnego, politycznego. Nie można przecież ludziom zabraniać pragnienia posiadania czegoś, jak również nie można im nakazywać, aby czegoś chcieli. To byłaby rzeczywistość orwellowska. Naturalnie, są wyjątki, w których sytuację należy kontrolować, zwłaszcza tam, gdzie występują negatywne zewnętrzne efekty konsumpcji, jak w przypadku narkotyków, broni strzeleckiej czy nieokiełzanego hazardu. W interesie społecznym tego typu potrzeby muszą być tłamszone, należy więc zorganizowaną działalnością zapobiegać ich rozprzestrzenianiu się. Pewne potrzeby nie mogą być nieodparte.

Pewne – czyli które i kto ma to rozstrzygać? Zdania są podzielone. Nie powiodła się prohibicja w USA w latach 20. Ale czy tak samo byłoby z liberalizacją rynku łagodnych narkotyków? Co dałoby rozluźnienie rynku pornografii? Na pewno jego ekspansję. Dlatego też, ze względu na wyznawane wartości, prawie wszędzie ustawodawcy wprowadzili obostrzenia, co wytlumiło eskalację potrzeb w tym zakresie (bez żadnych formalnych ograniczeń z pewnością byłaby niemała), ale zarazem uruchomiło mechanizmy czarnego rynku, a tym samym konieczność jego penalizacji. Jednakże nieco większa tolerancja w Holandii wobec „miękkich” narkotyków spowodowała spadek popytu na szkodliwe „twarde” środki odurzające. Doświadczenia Danii sugerują, że liberalizacja rynku pornografii przyczyniła się do spadku poziomu przestępstw seksualnych. Z punktu widzenia zakładanego celu kulturowego i wychowawczego stosowanie wyłącznie rygorystycznych zakazów daje ograniczone efekty i niekiedy przynosi ujemne skutki uboczne. Nie tędy zatem droga.

To którzy? Sam rynek nigdy nie stawi czoła temu wyzwaniu, a więc potrzebne są określone organizacje społeczne, a przede wszystkim państwo z jego regulacjami oraz inwestycjami w kapitał ludzki, bo im wyższy płynący stąd poziom świadomości społecznej, tym większa umiejętność inteligentnego kształtowania własnych potrzeb. Dodać warto, że wykształcenie ma zasadniczy wpływ na charakter potrzeb. Wraz ze wzrostem wykształcenia potrzeby przesuwają się w stronę dóbr i usług kultury. Wraz ze wzrostem dochodów, którym nie towarzyszy wzrost wykształcenia, bynajmniej tak być nie musi. Ma to określone konsekwencje dla gospodarki, która powinna dostosować strukturę oferowanej podaży do wynikających stąd przekształceń w strukturze efektywnego popytu. Podajmy klasyczny

przykład: mniej wódki, więcej książek. Tę pierwszą potrzebę warto ograniczać, tę drugą kultywować, stosując w tym celu m.in. instrumenty fiskalne.

Na pytanie o drogę pedagog odpowiedziałby: przez edukację i wychowanie. Duchowny nie miałby wątpliwości, że rzecz w sumieniu kształtującym pożądaną nawyki i zachowania. Psycholog zasugerowałby kultywowanie właściwych cech charakteru jednostki. Socjolog doradziłby tworzenie atrakcyjnych wzorców interakcji społecznych odchodzących od konsumeryzmu.

Co ma zrobić ekonomista? Neoliberalny wie: zostawić sprawy samym sobie i dalej opowiadać dyrdymałki w rodzaju, że i czyścibut może zostać milionerem albo współcześnie każdy absolwent szkoły biznesu krezurem; wystarczy, że będzie miał ogromną ochotę i żadnych skrupułów. Natomiast uczciwy ekonomista podejrze do sprawy interdyscyplinarnie i pragmatycznie. Wpierw spróbuje dowiedzieć się jak najwięcej z zakresu przedmiotowego wszystkich powyższych dyscyplin, aby potem zaproponować zespół długookresowych działań na obszarze całego trójkąta rozwoju wyznaczonego przez wartości, instytucje i politykę. I z pewnością ani przez chwilę nie zapomni o tym, że to, czego ludzie chcą, w ogromnym stopniu zależy od tego, co wiedzą.

Nie da się bowiem zmniejszyć luki pomiędzy narastaniem subiektywnych potrzeb w tempie przewyższającym wzrost obiektywnych możliwości ich zaspokajania bez odpowiednich przewartościowań w sferze ludzkich – indywidualnych i społecznych – pragnień. Nie da się jej zmniejszyć bez stosownych regulacji blokujących ekspansję „złych” potrzeb i rozsądne sprzyjanie „dobrym”, chociażby poprzez pobudzanie zainteresowania aktywnością sportową lub czytelnictwem literatury. Nie da się jej zmniejszyć bez uciekania się do konkretnej polityki, gdzie szczególne znaczenie ma niedopuszczanie do nadmiernego dochodowego i majątkowego rozwarstwienia społeczeństwa.

Tak długo jak wszyscy sąsiedzi jeździli do pracy fiatem, sąsiad zza rogu nie potrzebował mercedesa. Gdy widzi, że kilku z nich do takiej maszyny się przesiadło, zaczyna odczuwać taką samą potrzebę. Działa efekt demonstracji. W indywidualnym przypadku może to motywować do podnoszenia kwalifikacji i jeszcze bardziej wydajnej, lepiej opłacanej pracy. W makroskali prowadzi do tego, że pomimo iż dochód narodowy podwaja się co kilkanaście lat, ludzie narzekają, że jak było źle, tak i jest – albo że jest jeszcze gorzej – aczkolwiek wcześniej dojeżdżali do pracy zatłoczonym autobusem.

Raz jeszcze: to bynajmniej nie jest wołanie o jakikolwiek antymotywacyjny egalitaryzm, lecz podkreślenie znaczenia społecznie zrównoważonego podziału dochodów, czyli takiego ich zróżnicowania, które zasadniczo odzwierciedlając wkład jednostek i grup w tworzeniu dochodu narodowego, gwarantuje partycypację w nim w proporcjach, które sprzyjają równocześnie efektywności i sprawiedliwości, czyli – pod nieco innym kątem widzenia – prywatnej przedsiębiorczości i spójności społecznej.

Podróże kształcą. Weźmy na wokandę taką płynącą z nich lekcję. Rozsądek mówi, że powinniśmy być za tym, aby w miarę możliwości jak najwięcej ludzi miało osobisty tablet. Ma go już bardzo wiele ludzi w Stanach Zjednoczonych,

niemało w Polsce, trochę mniej w Rosji, sporo mniej w Chinach i prawie wcale na Kubie. Kto był, to widział. Gdyby zbadać dokładnie postawy społeczne, okazałoby się, że najwięcej niezadowolonych z nieposiadania jeszcze tabletu jest w Polsce, gdzie jest ich, w proporcji do ludności, kilkadziesiąt razy więcej niż na Kubie, gdzie z kolei akurat z tego powodu niezadowolonych jest relatywnie mniej. A to dlatego, że tam nie wykształciła się jeszcze taka potrzeba, nie tylko z powodu niedorozwoju sieci, lecz przede wszystkim ze względu na brak efektu demonstracji. I tam również taka potrzeba się zrodzi, ale nie ma co jej rozdmuchiwać, jeśli nie ma realistycznych perspektyw jej zaspokojenia – czyli przerodzenia się w rozsądnym przedziale czasu potrzeby w popyt – gdyż pożytek z tego byłby prawie żaden, a zawód wielki. Z czasem – gdy ludzie będą stać na zakup tabletów, bo sami będą potrafić je produkować albo opłacać sprzedawać coś innego za granicami, aby mieć za co je importować – potrzeba sama się rozwinie, bez telewizyjnych klipów, całostronicowych gazetowych reklam czy wielkich bilbordów pobudzających bardziej chore emocje niż zdrowe wysiłki.

Tak w przypadku jednostek, jak i w odniesieniu do całych narodów trzeba mieć ambicje. Bez ambicji – nie w rodzaju „mierz siły na zamiary”, lecz realistycznie ujętych – trudno zejść daleko i wspiąć się wysoko. Natomiast niedobrze się dzieje, gdy ma się przerost ambicji, bo później rozczarowanie z niemożności ich zaspokojenia bywa deprymujące. Nadmiar ambicji nie sprzyja rozwojowi, a mu przeszkadza. W szczególności ambitne wizje, a nie naiwne iluzje, mają mieć przywódcy na każdym szczeblu. Muszą to wszakże być aspiracje osadzone w rzeczywistym potencjale kulturowym i gospodarczym, a nie populistyczne obietnice.

To naturalne, że społeczeństwa i narody mają aspiracje przejawiające się w pragnieniu dogonienia jeśli nie od razu Japonii, to przynajmniej bogatszego sąsiada. Meksykanom marzą się drugie Stany Zjednoczone, Słowacy chcą, aby było u nich równie dobrze jak w Austrii, Estończycy porównują się do Finlandii, a Wietnamczycy zamierzają przegonić Tajlandię. Kiedyś nawet na PNG University w Port Moresby zostałem zapytany, kiedy w Papui Nowej Gwinei będzie jak w Australii (nigdy w dającej się przewidzieć przyszłości), a ostatnio kairska dziennikarka chciała się dowiedzieć, co myślę o politykach Egiptu, którzy zapowiadają dogonienie Turcji w ciągu siedmiu lat. Otóż jest to megalomania, gdyż wymagałoby to podwojenia w tym okresie PKB na mieszkańca Egiptu (nierealistyczne założenie), przy założeniu (też nierealistycznym), że w Turcji w tym samym czasie byłaby kompletna stagnacja.

Chęć równania w górę jest jedną z najważniejszych sił napędowych niwelowania różnic rozwojowych, ale gdy formułuje się zadania w określonym przedziale czasu niewykonalne, ludzie mogą się zniechęcać. Warto być ambitnym realistą, czyli pragmatykiem. Polska może kiedyś osiągnąć PKB na mieszkańca na poziomie Niemiec – podobnie jak udało się to Irlandczykom w porównaniu z Brytyjczykami – ale to nie może się stać za jednego pokolenia, a przy nienajlepszej polityce ostatnich kilku lat może nawet dwóch i trzech nie starczyć. Różnie z tym bywa. O ile bowiem Hiszpanii udało się zbliżyć do poziomu PKB *per capita*, którym cieszą się Francuzi (około 36 000 dolarów na mieszkańca według PSN w latach

2012–14), o tyle Portugalczykom (odpowiednio około 24 000 dolarów) nie udało się to w odniesieniu do Hiszpanii (31 000 dolarów). Stąd płynie wniosek dla polityki rozwoju gospodarczego: mierz zamiary na siły. Jak ktoś potrafi, niech zwiększa własne siły, ale nie powinien zamiarów wynosić ponad potencjał, bo wtedy cele rozjeżdżają się z możliwościami ich realizacji.

Nie chodzi o to, aby ograniczać ludzkie potrzeby, lecz by na wszelakie sposoby zabiegać o utrzymywanie niezbędnej z punktu widzenia satysfakcji społecznej harmonii pomiędzy narastaniem starych i pojawianiem się nowych potrzeb a realistycznymi i sensownymi ekonomicznie możliwościami ich zaspokajania. I w tym przypadku – podobnie jak w odniesieniu do tempa wzrostu w przyszłości – dobre byłoby pozostawianie większej przestrzeni do rozwoju społeczeństwom z gospodarek emancypujących się² przy relatywnie mniejszej skali wzrostu potrzeb w krajach bogatych. W jakimś stopniu to już się dzieje, bo jest tu znowu podobnie jak z obywatelstwem; kiedyś ma się dość nawet tego, co smakowało, i już więcej się nie chce.

3. Środki i cele rozwoju

Skoro w najszerszym wymiarze rzecz sprowadza się do długookresowej maksymalizacji stopnia społecznej satysfakcji z aktywności gospodarczej, należy spojrzeć na Nowy Pragmatyzm przez pryzmat celów rozwoju społeczno-gospodarczego, jego istoty i metody.

Zaspokajanie potrzeb w sposób satysfakcjonujący ludzi to cel rozwoju zgodny z wartościami, którym podporządkowany jest Nowy Pragmatyzm. Wzrost PKB to środek do celu, a nie cel. Najwyższy czas w krajach wysoko rozwiniętych odchodzić od maksymalizacji dochodu, przede wszystkim od śrubowania w górę produktu krajowego brutto. Jeśli zwiększające się przez pół wieku dochody nie wpłynęły na wzrost satysfakcji z życia bogatych Amerykanów, po co tak się męczyć i ponosić dodatkowe koszty, także w postaci wydłużania czasu pracy, i przy okazji jeszcze bardziej dewastując środowisko naturalne? (por. Bok 2010).

Notabene coś ciekawego dzieje się w tym nurcie, bo nawet podczas prezydenckiej kampanii wyborczej w USA w 2012 r. stosunkowo mniej mówiło się o ilości, a więcej o jakości, jakby mniej o samym wzroście produkcji, a więcej o innych aspektach rozsądnego gospodarowania, jak równowaga finansowa i handlowa, usługi publiczne, zatrudnienie, aczkolwiek nadal zbyt mało o kulturze i środowisku. Brało się to w dużym stopniu ze specyfiki kryzysowego czasu, ale poniekąd również z ewolucji sposobu myślenia. To dobrze, stoimy bowiem w obliczu zasadniczego przeformułowania celów rozwoju społeczno-gospodarczego. W przyszło-

² „Emancypujące się gospodarki” to kategoria, którą zastępuję szeroko – i często bezmyślnie – stosowane pojęcie „wylaniających się gospodarek” (*emerging markets*), które jest ujęciem zasadniczo przedmiotowym, a nie podmiotowym. W ujęciu „wylaniające się” chodzi przede wszystkim o wylanianie się nowych rynków dla inwestycji bogatych krajów, podczas gdy w ujęciu „emancypujące się” chodzi o społeczeństwa, które dążą do zajęcia lepszej pozycji w globalnym rozdaniu przyszłości. Więcej – zob. Kołodko (2013).

ści będzie nim nie sama maksymalizacja dochodów, ale zwiększający satysfakcję zbiorową podział owoców tego wzrostu oraz wartości pozamaterialne.

Szacuje się, że gdyby proporcje dochodów w USA kształtowały się podobnie jak w państwach skandynawskich (co uważam za przyszłość niemożliwą, ze względu na amerykańskie wartości)³, poczucie wzajemnego zaufania między ludźmi (dodatkowo nadwężone w trakcie kryzysu i ostatniej kampanii wyborczej) mogłoby wzrosnąć aż o 75%, a przypadki zaburzeń psychicznych i otyłości spaść o dwie trzecie. Liczba nastolatków rodzących dzieci zmalałaby o połowę, a liczba więźniów o trzy czwarte. Ludzie w sumie żyliby nie tylko dłużej, ale i szczęśliwiej, bo i czas ich pracy mógłby zostać skrócony nawet o jedną szóstą, czyli w sumie o dwa miesiące w roku (zob. Wilkinson, Pickett 2011). Jeśli szacunki te są nawet przesadzone co do konkretnych wskaźników (a na pewno są), to ich wymowa pozostaje oczywista.

Stany Zjednoczone nie są pępkiem świata i już nigdy nie będą miały aż takiej zdolności do narzucania innym swoich wartości – przede wszystkim w trosce o własne interesy – jak było to możliwe bezpośrednio po zakończeniu zimnej wojny, ale dokonujące się tam zmiany mają znaczenie nie tylko dla Amerykanów, lecz również dla innych miejsc na świecie, gdzie pełno ludzi wciąż zapatrzonych w USA. Było nie było, zdecydowana większość opiniotwórczych książek z ekonomii i innych nauk społecznych ukazuje się w języku angielskim właśnie w Stanach Zjednoczonych.

W tym kontekście może to i dobrze, że ilościowa ekspansja w postaci tradycyjnie rozumianego wzrostu gospodarczego słabnie po przekroczeniu progu PKB w wysokości około 20 000 dolarów na głowę. Nawet jeśli okaże się, że w warunkach obecnej rewolucji naukowo-technicznej dynamika wygasa na wyższym ilościowym poziomie – powiedzmy 30 000 dolarów w obecnych cenach, trzeba się z tego cieszyć, bo większe będą szanse na przetrwanie naturalnego środowiska i więcej czasu na dalszy postęp technologiczny zmniejszający nadmierne zużycie nieodnawialnych zasobów. Może więc warto się radować, bo przy wolniejszym wzroście ilościowym ekonomiści i politycy większą uwagę zwrócą na inne aspekty współdecydujące o jakości życia i satysfakcji stąd płynącej?

Zaproponowałem odmienny miernik postępu gospodarczego, określając go jako Zintegrowany Wskaźnik Pomyślności, w skrócie ZIP (Kołodko 2008; zob. też Kołodko 2011) – jak kod adresowy pokazujący, w którą stronę zmierzać, aby nie pobłądzić. Jedyne po części jest on zależny od PKB, ponieważ o wartości tego kompozytowego wskaźnika decydują też inne czynniki. Szczegółowo na zagregowaną wartość ZIP składa się:

- 1) poziom produktu krajowego brutto – w 40%;
- 2) subiektywna samopoczucie związane z ogólnym stopniem zadowolenia z życia, w tym z poziomu usług społecznych, oraz ocenami co do dalszych jego perspektyw – w 20%;

³ W książce *Dokąd zmierza świat...* (Kołodko 2013) posługuję się kategoriami przyszłości możliwej i niemożliwej.

3) ocena stanu środowiska naturalnego – w 20%;

4) wycena czasu wolnego i wypełniających go wartości kulturowych – w 20%.

W tej propozycji – dość arbitralnej – nie chodzi o szczegóły, a o kierunek poszukiwań. Wyjście obronną ręką z obecnego zamieszania warunkowane bowiem jest imperatywem zredefiniowania celów rozwoju gospodarczego. Nie upierając się zatem przy ZIP, który jest zaledwie ogólną koncepcją, a nie zoperacjonalizowanym miernikiem, w tej fazie można opowiedzieć się za jak najszerszym – jeśli to możliwe powszechnym – stosowaniem skorygowanego pod kątem nierówności w podziale dochodów wskaźnika kapitału ludzkiego, IHDI. Nastął czas dopominania się, aby polityka podeszła do tej sprawy poważnie, od tego bowiem, jak mierzymy, zależy dokąd zmierzamy.

Wyobraźmy sobie, że szybko zbliża się pożądana i jak najbardziej możliwa przyszłość i oto w amerykańskiej Izbie Reprezentantów i w brytyjskim Parlamencie, w niemieckim Bundestagu i hiszpańskich Kortezach, w brazylijskim Senacie i nawet w Ogólnochińskim Zgromadzeniu Przedstawicieli Ludowych deputowani dyskutują o sposobach zwiększania wartości kapitału ludzkiego i wzbogacaniu tkanki społecznej poprzez limitowanie nierówności dochodowych. Wyobraźmy sobie, że pomysł, jak zwiększyć IHDI, jest głównym punktem sporu pomiędzy pretendentami do Białego Domu w wyborach 2020 r. w Stanach Zjednoczonych albo uzgadniania przy szerzej uchylonych drzwiach składu Biura Politycznego Komunistycznej Partii Chin w 2022 r. (będzie istnieć i będzie rządzić). Wyobraźmy sobie posłów do Sejmu RP i rosyjskiej Dumy, którzy spierają się nie o interpretacje historycznych zaszczości albo ograniczanie praw mniejszości seksualnych, lecz o kierunki rozwiązań instytucjonalnych oraz instrumenty polityki makroekonomicznej prowadzące do zwiększenia IHDI – choćby dlatego, że wiedzą, iż również od tego będą zależeć ich dalsze losy polityczne. Czy tak trudno to sobie wyobrazić? Czy to wciąż jeszcze jest polityczno-ekonomiczne *science fiction*?

4. Ekonomia umiaru

By to się udało – a zwłaszcza by za wyobrażeniami i propozycjami ekonomii jako dyscypliny normatywnej szły stosowne działania polityki gospodarczej – nieodzowne jest ogarnięcie istoty ekonomii umiaru, bo o to chodzi w Nowym Pragmatyzmie. Ekonomia umiaru to dostosowywanie rozmiarów strumieni – ludzkich, naturalnych, finansowych i rzeczowych – do wymogu zachowania dynamicznej równowagi. Burzliwe przemiany ostatnich kilkudziesięciu lat są zarazem spowodowane głębokimi nierównowagami na różnych odcinkach, jak i ich skutkiem. Co nas otacza, to gospodarka permanentnej nierównowagi, gdyż wciąż albo czegoś jest za dużo, albo czegoś nie starcza. Coś występuje w nadmiarze, czegoś innego jest wciąż za mało, podczas gdy dobra gospodarka ma być gospodarką umiaru. Stąd też niezbywalna jest również służąca takiemu pożądanemu stanowi rzeczy myśl, czyli ekonomia umiaru.

Potrzebna nam jest na przyszłość ekonomia umiaru, a nie ekscesów, niedoborów, nierównowag i kryzysów. To wszystko jeszcze nieraz ludzkości i gospodarkom narodowym się przydarzy, ale mają to być wyjątki, a nie reguła. Regułą ma być umiarkowanie i dostosowywanie się do realnych możliwości wzrostu gospodarczego. Regułą mają być umiarkowane różnice w dochodach, a nie skrajności wycieńczające wielkie rzesze ludzi i prowadzące do kolejnych rewolucji. Regułą ma być umiar w marketingowych szaleństwach kreujących potrzeby zupełnie oderwane od realiów efektywnego popytu. Wreszcie regułą ma być umiar w przerabianiu kolejnych kawałków matki Ziemi na towary, które mają być opłacalnie sprzedane przez ich producentów, chociaż ich posiadanie i spożywanie nie poprawia już satysfakcji konsumentów.

Brakuje niektórych surowców i dochodów budżetowych, w nadmiarze mamy śmieci i zadłużenia – od gospodarstw domowych poprzez firmy po całe państwa. Brakuje technologii wytwarzania czystej i odnawialnej energii, w nadmiarze istnieją technologie produkcji broni masowej zagłady. Nie brakuje banków z nadpłynnością, gotowych do udzielania kredytów naiwnym konsumentom, nie starcza kredytów dla małych przedsiębiorstw, bo ich monitorowanie jest bardziej pracochłonne. W wielu krajach i regionach ewidentny jest nadmiar ludzi, których nie można dobrze odżywiać, gdzie indziej trwa wyludnianie terenów do niedawna prosperujących. W niektórych gospodarkach na fali spekulacyjnego balonu na rynku nieruchomości w nadmiarze nabudowano domów i mieszkań, które teraz marnieją puste, bo nie ma ich komu sprzedać, a zarazem nie brakuje tam ludzi, którzy nie mają gdzie mieszkać i koczują w namiotach. W jednych branżach nie starcza rąk do pracy, w drugich jest ich nadmiar. W jednych miejscach marnują się nadwyżki żywności, gdzie indziej brakuje jej do zaspokojenia elementarnych potrzeb. Iluż z nas codziennie wyrzuca więcej jedzenia, niż inni w sumie spożywają. W niektórych szpitalach lekarze nudzą się z założonymi rękami, bo brakuje im pacjentów, których nie stać na leczenie, w innych się umiera, bo zbyt mały personel nie nadąża z ratowaniem ludzkiego życia.

Generalnie biorąc, w krajach rozwiniętych na rynku występuje nadmiar podaży towarów konsumpcyjnych, a w tym samym czasie niedobór efektywnej siły nabywczej ludności. W skażonych konsumeryzmem społeczeństwach bezsporny jest wzrost potrzeb, podczas gdy jednocześnie ewidentny jest niedobór ekonomicznych możliwości ich zaspokajania. Podczas gdy przytłaczającej większości ludzi wciąż brakuje pieniędzy, aby sobie kupić to, co jest naprawdę potrzebne, wielu przedsiębiorców gnębi nadmiar mocy wytwórczych, których nie mogą opłacalnie eksploatować, bo nie mają komu sprzedać możliwych do wyprodukowania towarów. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć: wszystkiego nieustannie jest albo za dużo, albo za mało, w zależności, z której strony patrzeć. Innymi słowy, prawie wszystkiego prawie cały czas jest zarówno za dużo, jak i za mało. Ekonomistów nie wyłączając.

Największy deficyt we współczesnej gospodarce doskwiera tam, gdzie trzeba zachować umiar. Powszechnie brakuje umiaru. W przyszłości natomiast powinno być go jak najwięcej. I to jest jeden z fundamentalnych kanonów ekonomii politycznej przyszłości. Konieczne jest tworzenie mechanizmów równoważenia strumieni i zasobów gospodarczych. Znowu mógłby ktoś rzec: nic nowego pod

słońcem. Otóż w proponowanym tu podejściu nowego jest wiele, gdyż bynajmniej nie wychodzi ono ze złudnego założenia właściwego niektórym innym nurtom ekonomii, że rynkowe mechanizmy pieniężne są w stanie samodzielnie rozwiązywać problemy niedoborów i nadmiarów, czyli dynamicznie równoważyć gospodarkę. Gdyby potrafiły, nie tkwilibyśmy w czasie zamętu – bo to jest czas zamętu – lecz w epoce dobrobytu.

Kiedyś – w innej fazie cywilizacji i przy dużo niższym poziomie ogólnego rozwoju – w niektórych krajach próbowano rozwiązać ten syndrom poprzez zastosowanie scentralizowanego planowania nakazowego, co wymagało nacjonalizacji środków produkcji i zbiurokratyzowanej kontroli procesów gospodarczych. Teoretycznie miało to wyeliminować marnotrawne kryzysy nadprodukcji, właściwe źle uregulowanej gospodarce kapitalistycznej, ale w praktyce doprowadziło do powstania gospodarki socjalistycznej charakteryzującej się strukturalnymi niedoborami. Wybitny węgierski ekonomista János Kornai potraktował niedobór jako główną, konstytutywną cechę takiego systemu i nazwał to „gospodarką niedoboru”, a jej teoretyczny opis ujął jako „ekonomię niedoboru” (Kornai 1980). Z takiego nieefektywnego systemu udało się wyjść prawie wszędzie – poza Kubę i Koreą Północną – i nie ma obaw co do tego, że kogoś skusi ponowne wypróbowanie etatyzmu i nakazowego planowania jako instrumentów równoważenia gospodarki.

Jednakże samo przezwyciężenie tamtego syndromu niedoboru poprzez posocjalistyczną transformację ustrojową od planu do rynku bynajmniej nie rozwiązało problemu braku ogólnej równowagi. Także w krajach, które nigdy nie doświadczały niedoborów właściwych realnemu socjalizmowi, doskwierają liczne deficyty. Za mały bywa a to eksport, a to dochody budżetowe, nie starcza raz jakichś fachowców, innym razem pewnych rzadkich metali. No i nie mówiąc o zdrowym rozsądku, wciąż brakuje czasu, aczkolwiek w skali społecznej jego marnotrawstwo jest przeogromne. Zarazem wciąż czegoś jest za dużo. Chyba nic na tym świecie nie jest w stanie tak permanentnej nierównowagi jak gospodarka.

Powiedzmy od razu, że z jej najgłębszej istoty tak będzie również w przyszłości. Lepiej czy gorzej, ale działając na krótką metę mechanizmy równoważenia strumieni popytu i podaży czy nawet w dłuższych przedziałach czasowych pewnych typów potrzeb i możliwości ich zaspokajania, lecz stany równowagi mogą występować co najwyżej przejściowo. Normalny stan gospodarki to permanentna nierównowaga z chwilowymi tylko epizodami, kiedy to linie podaży i popytu, produkcji i sprzedaży, dochodów i wydatków się przecinają. Odnosi się to do rzeczywistości, no bo w teoretycznych modelach o równowagę tak łatwo, jak o poczynienie stosownych założeń, i co ma się przecinać na poglądowych wykresach, przecina się zawsze tam, gdzie trzeba.

Nie ma co z tego powodu dramatyzować, ponieważ również z najgłębszej istoty rynkowej gospodarki posiada ona immanentne mechanizmy korekcyjne, tyle że dalece niedoskonałe. Gdy dochodzi do zbyt dużego odchylenia od stanu równowagi, zaczynają działać siły korygujące dysproporcje. Problem w tym, że bardzo często zbyt późno albo z niedostateczną siłą, czy też przestrzeliwując punkt równowagi w tym sensie, że ze stanu braku czegoś przechodzi się w stan nadmiaru albo odwrotnie. Jasne, że podnosi to ogólne koszty gospodarowania i obniża jego

efektywność. Rynkowe korekty zatem trzeba raz to prowokować, innym razem przyspieszać, kiedy indziej jeszcze wzmacniać, hamować albo wręcz blokować; trzeba je regulować. Kto ma to robić, jeśli nie państwo?

Wspomaganie interwencjonizmem państwowym rynkowych korekt natężenia przepływu strumieni (dochody i wydatki, podaż i popyt, zaopatrzenie i zbył) i zmian zasobów (majątek, oszczędności, zapasy) to konieczność. Dobrze byłoby zaprzestać ideologicznych sporów na ten temat i skoncentrować uwagę na praktycznych technikach tegoż interwencjonizmu. W wypadku bowiem gdy są nieodpowiednie, narobić można więcej szkód niż pożytku, bo interwencjonizm jest ryzykownym zajęciem. By uniknąć biorących się z tego ryzyka błędów, neoliberalizm proponuje wylać dziecko z kąpielą: nie wtrącać się w procesy rynkowe, gdyż mają zdolność do samoregulacji, czyli do automatycznego równoważenia się. Kapitalizm państwowy proponuje nie wylewać dziecka, ale i brudy zatrzymać, niejednokrotnie nadmiernie wtrącając się w gospodarowanie, co obniża możliwość do osiągnięcia efektywność.

Nowy Pragmatyzm wymaga dobrze wyważonej roli państwa i ponadpaństwowej koordynacji polityki gospodarczej, co ma korygować, a gdy trzeba wzmacniać mechanizmy rynkowe. Powiada więc: myć dziecko, wylewać brudy, a jak z czasem samo będzie się myć, to bardzo dobrze, ale bez mycia nigdy się nie obejdzie. Należy przeto optymalizować zakres i instrumenty państwowego interwencjonizmu, pamiętając cały czas, aby nie mylić środków polityki gospodarczej z jej celami. Nieustanna troska o równowagę we wszystkich jej przekrojach to kwestia o ogromnej wadze, ale wciąż tylko środek polityki, której celem jest rozwój. Równoważenie gospodarki ma mu służyć, a nie go hamować.

No ale każda akcja wywołuje reakcję. Sztaby fachowców – głównie prawnicy w dużych firmach, które na to stać – zastanawiają się, jak być w zgodzie z prawem, czyli z wciąż zmieniającymi się regulacjami, i wyjść przy tym wszystkim na swoje. Musi być opłacalnie, ma być legalnie, nie może być niemoralnie – to trzy święte zasady Nowego Pragmatyzmu. Powinno być moralnie, nie musi być opłacalnie, będzie w zgodzie z prawem, bo my je stanowimy – to cechy kapitalizmu państwowego. Musi być opłacalnie, ma być legalnie, może być niemoralnie – to trzy kanony neoliberalizmu. Jak zawzięcie i w znacznej mierze skutecznie potrafi on w każdej bez mała sytuacji zabiegać o interesy określonych grup, zwłaszcza finansjery, można prześledzić na próbach i wynikach zmian legislacyjnych dokonanych po 2008 r. w USA w odpowiedzi na kryzys (zob. Suskind 2011). W rezultacie próby poprawienia przepisów w niejednym przypadku prowadzą do ich pogorszenia z punktu widzenia interesu ogólnospołecznego.

5. Ekonomia deskryptywna i ekonomia normatywna

To truizm, że należy uważać, aby państwo, które intencjonalnie chce poprawiać rynek, nie psuło go jeszcze bardziej. Zdarza się, że to państwo niweczy możliwość

osiągnięcia pożądaných rezultatów. Przecież nie tylko rynek błądzi, ale i rządy oraz banki centralne się mylą. I to nierzadko. Rządowe regulacje – a w epoce nieodwracalnej globalizacji na rosnącą skalę również międzyrządowe i ogólnoswiatowe – ustalane są częstokroć w odpowiedzi na wyzwania z przeszłości. A tymczasem idzie o przyszłość. Regulacje mają utrudniać wpadki, błędy, uchybienia, przekręty, oszustwa, które mogą zaistnieć w przyszłości, a nie te, które już zaszły w przeszłości. Za to się przeprasza, strofuje, zwalnia, karze, zamyka w więzieniu. Jest z tym podobnie jak z wypadkami i katastrofami, po których obostrza się kontrolę techniczną, zamiast uczynić to *ex ante*, ograniczając przyczyny potencjalnych nieszczęść. Spadł samolot – sprawdza się stan techniczny wszystkich, które nie spadły, podczas gdy wystarczyłoby dokładniej sprawdzić niektóre przed wypadkiem. Wielka powódź przerwała od lat niemonitorowany wał ochronny – po fakcie kontroluje się wszystkie wały, podczas gdy wystarczyłoby sprawdzenie niewralgicznych miejsc zawczasu, by uniknąć katastrofy.

Interwencjonizm państwowy o charakterze systemowym ma weryfikować fundamentalne ułomności rynku i korygować ekscesy w sferze przesadnie nierównomiernego podziału dochodów, a nie usiłować zastępować rynek w jego w funkcjach alokacyjnych. Interwencjonizm odżegnywać się musi od uspołeczniania prywatnych strat. W przyszłości złożoność komplikujących się procesów rynkowych może ułatwiać jego nadużywanie w celu przysparzania korzyści szerzącej się prywatnie. Paradoksalnie, współcześnie jest coraz więcej, a nie mniej sposobów przerzucania kosztów niepowodzeń prywatnego kapitału na barki podatników. To jedna strona medalu.

Jest i druga. We wszystkich typach gospodarki rynkowej – ale na pewno więcej i częściej w państwowym niż neoliberalnym kapitalizmie – szerzy się klientelizm, w którym państwowe regulacje i polityka rządowa wysługują się politycznym, biurokratycznym i biznesowym koteriom, zamiast korygować niedostatki rynku. Ma to tyleż wspólnego z rzetelnym interwencjonizmem, co neoliberalne kanty z uczciwymi interesami.

Przeciwstawić temu może się jedynie społeczeństwo dobrze zorganizowane w silnym instytucjonalnie państwie, stojącym postępową praworządnością. Dlatego właśnie neoliberalizm chce „małego” państwa albo państwa „taniego”, bo co małe i tanie, to liche, a więc i słabe. Jeśli państwo może być relatywnie mniejsze bez osłabiania swojej interwencyjnej funkcjonalności, jak najbardziej iść trzeba w takim kierunku. Jeśli nie jest to możliwe, musi być „większe” czy też „droższe”, bo za kosztowne usługi publiczne – także w postaci gwarantowania praworządności – trzeba płacić drożej niż za towar kiepskiej jakości.

Jeśli zatem ktoś źle życzy gospodarce rynkowej, niech jej życzy nieokiełznanej wolności, wtedy bowiem tylko kwestią czasu będzie, kiedy jej przyszłość w ogóle stanie pod znakiem zapytania. Kto zaś jej życzy dobrej przyszłości, musi opowiadać się za odpowiednią regulacją i współgraniem z interwencjonizmem państwowym. W długim okresie i w skali makroekonomicznej pomagać w tym może opracowywanie strategicznych planów indykatywnych w postaci kroczącej, a więc wraz z upływem czasu wydłużających horyzont czasowy o kolejne lata – tak, aby

nie skracać perspektywy przed nami. W świecie przyszłości górą będą te kraje i te spośród regionalnych ugrupowań integracyjnych, które będą potrafiły lepiej posługiwać się tym instrumentem. W odróżnieniu od korporacji prywatnego kapitału, która często woli trzymać swoje strategiczne plany w tajemnicy (bo każda porządna korporacja ma plany), w przypadku państw i ich związków znajomość dalekosiężnych zamiarów w niczym nie szkodzi konkurencyjności, a poprzez ogólną mobilizację – także konkurentów – sprzyjać może rozwojowi jeszcze bardziej.

Nie od rzeczy będzie w tym miejscu dodać, że ani Stany Zjednoczone nie poradzą sobie bez odpowiedniego strategicznego planu z ułożeniem znajdujących się w opłakanym stanie finansów publicznych, ani Unia Europejska nie da sobie rady z uporządkowaniem własnego podwórka w sferze finansowej. Rozumieją to Chińczycy, którzy problem atakują jakby z drugiej strony. Wciąż opierają się na makroekonomicznym planowaniu pięcioletnim, ale już nie nakazowym, a strategicznym i indykatywnym. Z każdym kolejnym okresem (aktualnie jest realizowany już dwunasty plan pięcioletni, 2011–2015) jest to gospodarka coraz mniej planowa i coraz bardziej rynkowa. Indykatywne planowanie jest stosowane również w Indiach, które nie rezygnują z tego instrumentu sterowania rozwojem gospodarki, zarazem od kilkunastu lat – spokojnie i rozsądnie, bez neoliberalnych ekscesów – ją deregulując.

Na tym tle nietrudno dostrzec, że Nowy Pragmatyzm pozostaje w zgodzie z hipotezą kompensacji, która powiada, że im bardziej zaawansowana jest globalizacja, tym „większe” jest państwo, to znaczy stosunek wydatków publicznych do produktu narodowego rośnie (por. Garrett 2000). Naturalnie, chodzi tu o zrelatywizowanie ich sumy do produktu światowego brutto, a więc do sumy produktów brutto wszystkich krajów. Będą bowiem wśród nich i takie, że dobrej sprawie zrównoważonego rozwoju przysłuży się redukcja tych wydatków (a więc dostosowanie zgodnie z hipotezą efektywności), ale będą i takie, iż wymagać to będzie zwiększenia skali fiskalnej redystrybucji.

Jednym z atrybutów przedstawianej tu metody jest głębsze rozpoznawanie mechanizmów i siły oddziaływania procesów prowadzących do przyszłych stanów, a nie o samo prognozowanie tych stanów. Chodzi o pokazanie dynamicznej drogi do przyszłości, czyli sposobów osiągania zamierzonych celów, a nie samej statycznej przyszłości. Cenną metodą ekonomicznego nurtu myślenia o przyszłości, służącą dochodzeniu do trafnych wniosków i prawidłowych decyzji, są wariantowe przewidywania, alternatywne scenariusze, rozważania typu *foresight*, a także eksperymenty mikroekonomiczne tam, gdzie mogą mieć zastosowanie.

Takie podejście metodologiczne bynajmniej nie eliminuje całkowicie ryzyka pomyłki, ale ogranicza jego rozmiar. A to dlatego, że prawdopodobieństwo wystąpienia wydarzeń nieprzewidywalnych – zwłaszcza w bardziej odległej przyszłości – jest większe niż możliwość pojawienia się nieprzewidywalnych procesów. Wiele z nich bowiem zakorzenionych jest w przeszłości i już trwa. Przyszłych wydarzeń jeszcze nie ma i niektóre z obecnie prognozowanych w ogóle się nie pojawią, natomiast jakże wiele przyszłych procesów już wystartowało i się toczy. Również tych, o których mało wiemy, bo nie potrafimy skierować na nie dostatecznej uwagi badawczej.

Nowy Pragmatyzm wyraża strategiczne podejście do przyszłości. Nie jest mu obcy ani nurt wizji globalnych, ani popularny raz mniej, raz więcej nurt prognoz ostrzegawczych, jednakże zasadniczo do przyszłości podchodzi aktywnie. Dobra ekonomia to nie tylko opis świata, to także instrument jego zmiany na lepsze. Mając na uwadze długofalowe tendencje rozwoju, warto opracowywać strategie pomocne w ich pożądanym ukierunkowaniu, co ułatwi rozwiązanie niejednego problemu i uniknięcie niejednego ekonomicznego nieszczęścia.

Nowy Pragmatyzm to normatywna konsekwencja deskryptywnego ujęcia, które przedstawiłem wcześniej jako koincydencji teorię rozwoju (Kołodko 2008, s. 257–290). Akcentuje ona znaczenie określonej – zawsze konkretnej, ale różnorodnej w czasie i przestrzeni – zbieżności determinantów rozwoju. To właśnie lapidarnie wyraża sentencja, że rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele dzieje się naraz. Zasada ta będzie obowiązywać zawsze w przyszłości. Wychodząc z opisu, analizy i interpretacji tego, co się stało w przeszłości i co zachodzi w teraźniejszości, dochodzimy do wartościowania i postulowania działań, które mają w przyszłości utworzyć określoną wiązkę tychże rzeczy – czyli zjawisk i procesów – aby ich wypadkowa skutkowała pożądanym kierunkiem i tempem rozwoju społeczno-gospodarczego. Zdecyduje zbieżność, nakładanie się i przenikanie rozmaitych czynników, i to właśnie jest ten wielowarstwowy, heterogeniczny „kamień magiczny”, który może nam w przyszłości ułatwić działania w innym przypadku niemożliwe.

Tekst wpłynął: 17 lutego 2014.

Bibliografia

- Acemoglu D., Robinson J.A., *Why Nations Fail. The Origins of Power, Prosperity, and Poverty*, Crown Business, New York 2012.
- Berg A.G., Ostry J.D., *Inequality and Unsustainable Growth. Two Sides of the Same Coin?*, IMF Staff Discussion Note, SDN/11/08, International Monetary Fund, Waszyngton 2011.
- Bok D., *The Politics of Happiness: What Government Can Learn from the New Research on Well Being*, Princeton University Press, Princeton 2010.
- Garrett G., *Globalization and Government Spending Around the World*, Estudio/Working Paper 2000/15, 2000.
- Garrett G., *Partisan Politics in the Global Economy*, Cambridge University Press, Cambridge 1998.
- Halper S., *The Beijing Consensus: How China's Authoritarian Model Will Dominate the Twenty-First Century*, Basic Books, New York 2010.
- Kołodko G.W., *Truth, Errors, and Lies: Politics and Economics in a Volatile World*, Columbia University Press, New York 2011.
- Kołodko G.W., *Cele rozwoju a makroproporcje gospodarcze*, Szkoła Główna Planowania i Statystyki, Warszawa 1984 (wyd. II: PWN, Warszawa 1986).

- Kołodko G.W., *Dokąd zmierza świat. Ekonomia polityczna przyszłości*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2013.
- Kołodko G.W., *Wędrujący świat*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008.
- Kornai J., *Economics of Shortage*, North-Holland, Amsterdam 1980.
- Malinowski G., *Prowzrostowe przedziały nierówności w OECD*, „Kwartalnik Nauk o Przedsiębiorstwie” 2013 nr 2 (27).
- OECD, *How's Life? Measuring Well-Being*, OECD Better Life Initiative, Paris 2011.
- Roubini N., Mihm S., *Ekonomia kryzysu*, Oficyna Wolters Kluwer, Warszawa 2011.
- Suskind R., *Confidence Men. Wall Street, Washington, and the Education of a President*, Harper, New York 2011.
- Wilkinson R., Pickett K., *Duch równości. Tam gdzie panuje równość, wszystkim żyje się lepiej*, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2011.

THE NEW PRAGMATISM, OR ECONOMICS AND POLITICS FOR THE FUTURE

Summary

Not only is economics a means of interpreting the past and analysing the present, but it must become an instrument that can be used to read and shape the future. On the one hand, it should show the development of inevitable future socio-economic processes, with their links to culture and technology, politics and the environment, for which we need to be properly prepared well in advance. On the other hand, the economics of the future must reveal the conditions and mechanisms of the phenomena and processes that might occur. With theoretical knowledge of this area, knowledge-based policies and strategies of economically, socially and environmentally sustainable development can be put in place. In the future, heterodoxy is bound to dominate, and economics itself is likely to become increasingly more interdisciplinary. Future generations need economics of moderation and a theory describing it, as opposed to the thus far prevailing economics of either deficiency or excess. We need the New Pragmatism.

Key words: sustainable development, economics of moderation, New Pragmatism

НОВЫЙ ПРАГМАТИЗМ, Т.Е. ЭКОНОМИЧЕСКАЯ НАУКА И ПОЛИТИКА РАДИ БУДУЩЕГО

Резюме

Экономическая наука призвана не только интерпретировать прошлое и анализировать настоящее, но и быть инструментом предвосхищения и формирования будущего. Она должна, с одной стороны, предсказывать ход неизбежных социально-экономических процессов и их связь с культурой, технологией, политикой и окружающей средой, к чему следовало бы соответствующим образом и своевременно подготовиться. С другой стороны, от экономической науки требуется заранее обозначить те обусловленности и механизмы явлений и процессов, которые могут случиться в будущем. Располагая

теоретическим осмыслением этой сферы, можно проводить политику и стратегию развития, уравновешенного в трёх аспектах – экономически, социально и экологически. В будущем будет доминировать гетеродоксия, а сама экономическая наука будет всё более интердисциплинарной. Последующим поколениям нужна экономика равновесия и описывающая её теория, в отличие от доминирующей пока экономики дефицита или перенасыщения. Нужен подход, который можно было бы назвать новым прагматизмом.

Ключевые слова: экономическое развитие, экономика равновесия, новый прагматизм